



# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.

## Sprawozdanie z konkursu na wypracowania.

— — — — —  
Z rozmaitych stron  
Zbierany  
Plon niesiemy, plon!  
Owoc pracy waszej głowy  
Plon niesiemy konkursowy,  
Niechaj wieść tę dzwon spiżowy  
Niesie w miasta i dąbrowy!  
Z rozmaitych stron  
Zbierany  
Plon niesiemy, plon...

A jest to plon, którym się śmiało pochlubić możemy, gdyż wśród pięćdziesięciu z górą wypracowań nie było ani jednego, o którym można byłoby powiedzieć, że jest zupełnie złe, większość—to prace dobre, nawet bardzo dobre!



Trudne przeto sąd konkursowy miał zadanie, zwłaszcza w przysądzaniu nagród drugiego stopnia, gdyż wypracowań, zasługujących na to odznaczenie, była liczba znaczna.

Rozglądając się w pracach konkursowych, zrobiliśmy parę ciekawych spostrzeżeń: zauważyliśmy więc, że 20 wypracowań, czyli prawie połowę ogólnej liczby nadesłali czytelnicy starsi w wieku od lat 14-tu, 14 prac czytelnicy, mający 12 lub 13 lat, i pozostała ilość prenumeratorki od 9 do 11 lat włącznie. Dodać przytem należy, iż z Warszawy jest tylko ogółem wypracowań 15-cie, wszyscy inni uczestnicy konkursu mieszkają na prowincyi. Okazuje się więc, że warszawiacy i warszawianki mniej mają ochoty do pisania i w pilności przewyższają ich prowincjonalni czytelnicy „Wieczorów”.

Gdy będziemy wypracowania konkursowe rozpa-



trywali według tematów, to na pierwszym miejscu co do ilości będą prace osnute na tematach historycznych, później idą opowiadania i przykłady z życia, objaśniające przysłowie: „Nie mów hoc, aż przeskoczysz;” na następnej stronie stoją charakterystyki głównych bohaterów powieści „Obowiązek”, drukowanej w dodatku powieściowym „Wieczorów Rodziny”, i wreszcie na końcu streszczenia ulubionych wierszyków lub bajeczek.

Przy przyznawaniu nagród wszystkich uczestników konkursu rozdzieliliśmy na dwie zasadnicze grupy: do pierwszej zaliczeni zostali czytelnicy w wieku od lat 12, do drugiej wszyscy młodsi. Nagrody w każdej grupie sądy konkursowe przyznawały, biorąc pod uwagę nie tylko poprawność wypracowania, ale i wiek piszącego. Oto lista nagrodzonych, odznaczonych i wyróżnionych:

A) Z liczby starszych uczestników konkursu:

**1-szą nagrodę** otrzymali:

**Rycerz z nad Syr-Daryi** (z Taszkientu) za wypracowanie p. t. „Tymoleon polski”.

**Halka z nad Teterowa** za bardzo dobrze napisaną charakterystykę Marylki i Emmy.

**2-ga nagroda** przyznana została:

**Zygmuntowi Molendzie** z Warszawy za poprawnie napisany życiorys Napoleona i **K. Biernackiemu** za charakterystykę.

Wszyscy czworo nagrodzeni otrzymają książki zajmujące.

Na **pochwałę pierwszego stopnia** zasłużyli: Kazimierz Wyszyński, Wiarus, Wiewiórka z Winnicy, Prządka złotych uci, Stanisław Sarnacki.

**Pochwałę II-go stopnia** otrzymali: Maryan Gośczyński z Nowo-Radomska, Kurpianka, Anula z Łodzi, Stanisław Świrski i Antoni Krajewski.

Na **wyróżnienie i zachętę** do dalszej pracy zasłużyły prócz tego prace Maryi Goncezarówny, Zosi Szyszkówny, Teosia Jarnickiego i Janka Rz.

B) Z młodszych czytelników otrzymali:

**1-szą nagrodę** — **Halina Huzarska** z Warszawy za wypracowanie na temat przysłowia.

**2-gą nagrodę** — **Niezapominajka z nad Ławeny**, **Helenka Kłobska** z gub. Kaliskiej i **Jadzia Hausbrandtówna**.

Wszystkie trzy otrzymają jako nagrody odpowiednie książki.

Na **pochwałę** i wyróżnienie zasłużyli: Ignas z Międzyrzecza, Irena Huzarska, Dolly Wen i Kazio Marecki.

Poza konkursem nadesłała wypracowanie Łowiczanka na temat przysłowia, usiłując dowieść w swej pracy jego niesłuszności. Całość pisana jest z werwą, szkoda tylko, że w niektórych miejscach znaczenie się na dowcip.

W zakończeniu wreszcie musimy zrobić ogólną uwagę na niewłaściwe lekceważenie znaków nad literami. Większość uczestników konkursu przecinki i kropki nad takimi literami jak **ć, ś, Ń, ź, ó, ż** opuszczają sobie bez ceremonii, co bynajmniej dobre nie jest.

Wszyscy nagrodzeni książkami, a zamieszkali poza Warszawą winni przysłać do redakcyi po 20 kop. markami na koszt przesyłki nagród. Czytelnicy prowincjonalni mogą również odebrać nagrody przez okazyję.

## Echo z lasu

Wodą płynę, wiatrem wieję,  
Przez łąk smugi, lasów knieję,  
Ja — tej naszej duch piosenki!  
Urodził mnie szum dąbrowy,  
Nieba z ziemią ciche mowy,  
Pogrzebanych łąwie jęki.  
I unoszę się w przestworze,  
Jako czyste technienie Boże,  
Nad chaosu ciemną bryłą.  
A w gwiazdziste nocy letnie,  
Ja pastusze stroję fletnie,  
Niewidzialnej dłoni siłą.  
Stroję fletnię, pieśniom wtórę,  
Z lirnikami grywam w chórze,  
Wołam ku nim wśród przestrzeni:  
Oto jesień! Czy słyszyacie?  
Ja — wszech - głosów, wszech - odbicie,  
Modłów — wołań — jęków — pieśni!  
We mnie szumy naszych łąnów,  
We mnie cichy szept kurhanów,  
We mnie waszych serc westchnienie!  
Rozstrzelone w dźwięków krocie,  
Błądzą w drżących dum tęsknocie,  
Jak wieczornych wiatrów technienie.  
Kto te wszystkie dźwięki zbierze,  
Kto je sercem pojmie szczerze,  
I miłością spoi żywą —  
W tego piosenkę ja się wcielę,  
Jak nadzieja — jak wesele,  
Nad tą naszą zabrzmię niwą.

## PSIE POLE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA DLA MŁODZIEŻY  
przez  
**Włodzimierza Trąpczyńskiego.**

(Dalszy ciąg).

W

Kruszwicy wielkie wrażenie sprawiło przybycie osobnego gońca, wieść zaś o uwolnieniu rozbiegła się szybko i tłumy biegły z dalszych nawet krańców, ażeby zasięgnąć języka i przyjrzeć się więźniom, a zwłaszcza temu nieznanemu i upośledzonemu synowi królewskiemu, który z woli znieprawionego Sieciecha nie tylko pozbawiony był praw swoich, ale jeszcze cierpieć musiał w lochach strażnicy. Wy-



chodzącego na świat Boży Zbyszka witano serdecznie i ze współczuciem.

Jedna tylko osoba nie podzielała radości ogólnej, a była nią Brysia. Przybycie gońców królewskich sprawiło córkę Winczową na razie w dziwne osłupienie, a potem smutek głęboki opanował ją zupełnie.

— Gdyby to było wczoraj! — wołało dziewczę i niespokojnie biegać zaczęła po komnacie, załamując ręce rozpaczliwie. — Ale czyż ktokolwiek mógł się tego spodziewać. Gdyby to było wczoraj! Nieszczęśliwy Kruszyńka taki dobry, taki poczciwy chłopiec, nie naraziłby się na tyle niebezpieczeństw. Co powie ojciec, gdy się dowie, co powie Maćko, gdy zobaczy, że ani syna jego, ani też wychowanka nie ma tutaj w Kruszwicy!..

I Brysia miała słuszne powody do rozżalenia i wołania „gdyby to było wczoraj,” zaszły bowiem wypadki, które nadały zupełnie inny obrót losom więzionego garbuska i Dobka. Syn Maćka po kilkakrotnych a zawsze połączonych z wielkiem niebezpieczeństwem wycieczkach nocnych na łódce pod mury więzienne, właśnie wczoraj doszedł do przesłuchania, iż rzeczą trudną wprawdzie, ale możliwą do wykonania stać się może uwolnienie Kruszyńki z lochu. Należało tylko przepiłować w dwóch miejscach kratę, podać sznur odpowiedni więźniowi i wyciągnąć go ku łódce.

Z planem tym zwierzył się Bolek Brysi, która opierała się zrazu w obawie przed ojcem, w końcu jednak pociągnięta sama śmiałością pomysłu, dała się przekonać i nawet gorączkowo dopomagała do urzeczywistnienia śmiałego zamiaru. Łódkę opatrzone przedewszystkiem doskonale, wybrano najlepsze wiosła, a Brysia zajęła się przygotowaniem zapasów, któreby mogły na dni kilka wystarczyć zbiegowi do pożywienia.

W ten sposób uzbrojony podpłynął Dobek, jak zwykle wieczorem, pod wieżę, ale długo przekonywać musiał Kruszyńkę, zanim ten się zgodził na opuszczenie celi więziennej. Prawa jego dusza wzdygała się na samą myśl, Kruszyńce zdawało się, że ucieczka taka byłaby zdradą, kiedy jednak Dobek wytłómaczył mu, że przecież tu o nic więcej nie chodzi, jak tylko o przepłynięcie Gopła i dotarcie do królewicza Bolka, który już pomyśli o dalszych krokach, garbusek dał się nakłonić.

— O nas mniejsza — mówił Dobek — tu ojcu naszemu, rodowi całemu stała się krzywda i ty jeden możesz ją naprawić. Niesłychane to rzeczy, ażeby wojewoda śmiał targnąć się na wolnego człowieka, a więcej jeszcze karygodne trzymać w lochach syna królewskiego.

— Przecież już mówiłem o tem królewiczowi Bolkowi — tłumaczył Kruszyńka — i jeśli on dotąd nic jeszcze nie uczynił, to widocznie nie mógł, albo czeka chwili sposobnej. Więc i my czekajmy lepiej, ja przyzwyczaiłem się do tego lochu, a dzięki twojemu dobremu sercu nie uczuwam braków, ani też wielkiego osamotnienia.

— A ojciec nasz? — popędliwie wybuchnął Dobek. — Czyż może ci być obojętnie, że on, człowiek sterany pracą i różnemi bojami, jęczy tutaj, zamiast strzedz domowego ogniska? Chyba nie dbasz o nas zupełnie.

Kruszyńka z boleścią spojrzał na chłopca, który mu był i bratem i przyjacielem zarazem. Zarzut obojętności dotknął go bardzo, a nawet łzy zakreśliły się w jego oczach, nie odrzekł jednak nic, chociaż Dobek nie przestawał ranić go słowami dalszemi i przekonywać wymownie.

— Przecież to zadanie nie takie trudne — wołał syn Maćka — Gopło choć wielkie, nie jest morzem i dopłynąć do przeciwnego brzegu możesz, wiosłując dobrze, w ciągu nocy.

— Zobaczą z wieży, wyślą pościg, uchwycą i wtedy wszyscy narażeni będziemy na gorsze jeszcze katusze — oponował Kruszyńka. — A zresztą nie znam drogi, zabłądzę i nic nie wskórawszy, nikomu nie dopomógłszy, zginę gdzieś marnie.

— Boisz się! — zawołał Dobek i uśmiechnął się złośliwie. — Domyślałem się oddawna, że nie rycerska krew płynie w żyłach twoich.

Na tę nową obelgę zadrzał Kruszyńka i łzy jak grochy potoczyły się z łagodnych jego, modrych oczu.

— Nie dałem ci dotąd nigdy powodu — rzekł smutnie — do ubliżania mi w podobny sposób i wytykania, iż jestem przybłądą, który nie ma prawa do miejsca w waszym gronie. Bóg jednak widzi i On też osądzi, czy choćby na chwilę uczuwałem lęk. Ażeby ci zaś dowieść, że nie obawa wstrzymuje mnie od tego kroku, odpowiem krótko: jadę! Podaj mi narzędzia, ty weź drugie narzędzie i rozpoczniemy pracę przepiłowania kraty.

— Wiedziałem, że to zrobisz — radośnie wykrzyknął Dobek, i po chwili ktoś dobrze podслуshujący musiałby usłyszeć zgrzyt żelaza, tartego o drugie żelazo.

Ale nikt nie podsłuchiwał, Brysia bowiem i tym razem ofiarowała się z pomocą, która polegała na tem, że wbiegłszy na górę wieży strażniczej, trzpiotowatym zachowaniem, opowiadaniem różnych dziwów, a nawet śpiewem zabawiała znużonych czuwaniem podwładnych ojca.

— Śpieszmy się, trzeba działać szybko, ostrożnie i mądrze — przynaglał Dobek, słabe też ręce dwóch chłopców pracowały gorliwie nad usunięciem najważniejszej przeszkody, pręta żelaza.

Pot lał się z czoła obu, mięśnie wyprężały się, a chociaż wiatr zimny dał od jeziora, Dobkowi i Kruszyńce wydawało się, że żary biją z nieba, tak im było gorąco przy tej pracy. Ten wiatr, rzucający bałwany na Gopło i rozbijający je z hukiem o wieżę, okazał się najlepszym sprzymierzeńcem śmiałości. Zagłuszał on zgrzyt i pozwalał dokonać dzieła rozpaczliwego.

— Jeszcze tylko trochę, piłuj z boku, teraz dobrze — komenderował Dobek, zdmuchując co chwila opiłki, które spadały na wgłębienie w murze.

Nareszcie chłopcy odetchnęli, pręt przepiłowany został usunięty i w jednej chwili powstał otwór przez który mały człowiek przesunąć się mógł z łatwością. Dobek okiem znawcy obejrzał go i był zadowolony z siebie, na twarzy jednak Kruszyńki odbiło się nowe zmartwienie.

— Teraz wyjdź — rzekł Dobek, ale Kruszyńka zacerwienił się cały gdy mówił cicho i pokornie.

— Tobie łatwo tu przejść, mój Dobku, ale ja wątpię, czy dokazę tej sztuki.

— Dlaczego? — w osłupieniu zapytał syn Maćka.

— Wiesz przecież — cicho i boleśnie odparł Kruszyńka — o mojem kalectwie, mój garb będzie ważną tutaj przeszkodą.

Dobek rozpaczliwie opuścił ręce.

— Prawda, zapomniałem o tem — jęknął i dał — trudno teraz już myśleć o wypilowaniu drugiego pręta, za dużo zajęłoby to tak drogiego czasu. Coś jednak poradzić trzeba i w ten sposób zostawić otworu nie możemy. Czego nie zauważył dzisiaj nikt, to jutro przy dniu białym dostrzeżone być musi. Załóżmy przeto odpilowany kawałek i czekajmy do jutrzejszego wieczora, dokończymy wtedy dzieła.



— Ależ ten kawałek wrzuciłem do wody — strapiiony zawołał Kruszyńska.

— Żle z nami, bardzo źle, cała robota, cały plan obraca się w niwecz — mówił Dobek i stał na łódce bezradny i bezmyślnie patrzył w utworzony takim trudem otwór.

— Może jeszcze nie straconego pocieszał Kruszyńska. — Poczekaj, spróbuję, skulę się, ściągnę jak wąż, a kto wie, czy nie powiedzie mi się przecisnąć.

(d. c. n.)



*Generał Stessel.*

Głównodowodzący załogą Portu Artura. (p. art. w N. 39).

B. Dyakowski.

## NASZE ROŚLINY UPRAWNE.

(Dokończenie).

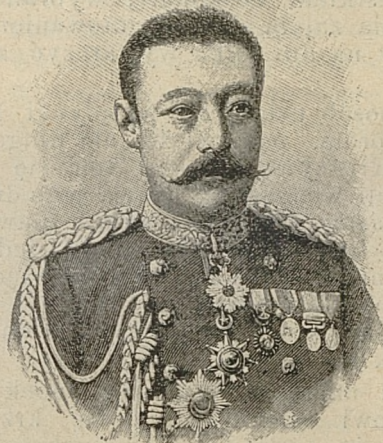
**O** gryce nie można powiedzieć tego, co o wszystkich zbożach (z wyjątkiem kukurydzy) że kraj nasz posiada ją od dawna. Przeciwnie, z gryką zrobiliśmy znajomość dość późno (choć wcześniej, niż z kukurydzą) i w warunkach nie nazbyt przyjemnych.

Ojczyzna tej rośliny znajduje się gdzieś hen aż na drugim krańcu Azji, w stepach Syberyi południowej oraz niegościnniej Mandżuryi i Azji środkowej, bliżej oceanu Wielkiego, tam właśnie, skąd się wywodzą Tatarzy. A gdy opuściwszy brzegi Amuru, wyruszyli oni na podbój Azji i Europy, i gryka pociągnęła wraz z nimi. Tatarzy, posuwając się coraz dalej na zachód, zalewali i pustoszyli coraz to nowe kraje, pozostawiając po sobie zgliszcza i pożogi, ale jednocześnie darząc mieszkańców gryką. Najpierw zjawiła się ona w Rosyi, utrwaliwszy się tam na stałe, wraz z osiedleniem się Ordy. Następnie wkroczyła do nas, gdzie zaczęto ją uprawiać w wieku XIV, a posuwając się coraz dalej na zachód, w połowie w. XVI zawitała do Francyi, czyli okazała się potężniejszą od Tatarów, bo ich zagony nie sięgały ni

gdy tak daleko. Mur z piersi rycerstwa polskiego położył tamę ich dalszemu posuwaniu się, ale nie stanowił przeszkody dla gryki. Polacy sami chętnie ją przejęli od Tatarów, a sąsiedzi nasi Niemcy od nas.

Stąd właśnie pochodzi jej nazwa — tatarka; dawniej zwano ją nie mniej dosadnie pohanką, na znak, żeśmy ją otrzymali od pogan. Nazwy — gryka, grecka, hreczka — powstały z przekręconego wyrazu „grecka” i każą przypuszczać zupełnie fałszywie, jakoby pochodziła ona z Grecyi.

Nie można się dziwić temu rozpowszechnieniu się tatarki w całej Europie, roślina ta bowiem posiada dużo zalet. Przedewszystkiem jest ogromnie niewybredna zarówno na grunta, jak i na klimat. Szczególnie zaś ważne jest to drugie: okres wegetacyjny tatarki trwa zaledwie 12 — 14 tygodni, co wogóle ułatwia ogromnie jej uprawę. Sieją ją aż do 70° szerokości północnej. U nas zaś należy do roślin, które można siać bardzo późno bez obawy, że nie zdążą już wydać plonów. To też przesiewają się inne rośliny, które wymarły lub wyginęły na wiosnę z jakiegokolwiek innego powodu. Następujące przysłowie dobitnie określa tę właściwość tatarki: „na świętego Marka (24 kwietnia) późny siew owsa, a wczesny tatarki”. A jak dalece można się spóźnić z jej siewem, widać z innego: „kto sieje tatarkę na Antoniego i Wita (13 i 15 czerwca), to mu pięknie powstanie i zakwita”.



*Generał Oku.*

Komendant drugiej armii japońskiej.

Obok tej swojej niewybredności, tatarka ma jeszcze inne zalety. Ziarna jej zawierają 8% do 9% związków białkowych, należy więc do posilnych i wcale dobrze zastępujących zbożowe. Robią też z nich zarówno mąkę, jak i kaszę. Mąki używamy i teraz na kluski, pierogi, placki, a dawniej wypiekano z niej chleb, nigdy jednak nie cieszył się on zbyt wielkim uznaniem i używany był jedynie w razie nieurodzaju. Szymon Syreński (XVII w.) powiada o nim: „tatarczany albo tatarski chleb też i u nas bywa w użyciu czasu roku drogiego”.

Kasza zato cieszyła się większym uznaniem. Wyrabiano z ziarn gryki kaszę obwarzaną, żelazną, zwaną także w niektórych okolicach częstochowską,



Z wyrobu ostatniej słynęła zresztą bynajmniej nie Częstochowa i nie Kraków, lecz Radomsk, a była ona tak dalece poszukiwana, że Anna Jagielonkaazała ją sobie umyślnie przysyłać do Warszawy. Kasza gryczana jest i teraz w powszechnym użyciu.

Na ogół jednak zarówno kasza, jak i mąka, są o produkty mniej delikatne i mniej cenne od pszenych, dla tego też i gryka nie zdobyła sobie uznania wielkiego wśród roślin pokarmowych.

Ma ona także zastosowanie i dla zwierząt: ziarem jej karmią drób; otręby obfitują w związki białkowe i stanowią doskonały karm do tuczenia nie-

orze, nie pytaj go, jak się ma, jeno jeśli jeszcze żywnieboże”.

Znane wyrażenie „siać hreczkę” oznaczało początkowo gospodarować na małym, uprawiać ziemię własnymi rękoma. Z czasem atoli znaczenie jego rozszerzyło się wogóle na zawód rolnika. Zawiera ono zawsze jednak pewien odcień żartobliwo-pogardliwy, podobnie jak i wyrazy: „hreczkosiej, grykosiej”, które wprawdzie oznaczają rolnika w ogólnym znaczeniu, ale każą domyślać się, iż mówi się o takim, który zasiedział się na wsi i poza swym zajęciem nie interesuje się niczem więcej na świecie.



*W szkole japońskiej nauczyciel objaśnia budowę statku wojennego.*

rogaczny. Nienależy wreszcie zapominać o znaczeniu gryki dla pszczół: kwiaty jej zawierają dużo soku słodkiego, pszczoły zbierają z nich obficie miód. Przyjemny miodowy zapach, jaki się unosi nad kwitnącym łanem gryki, już odrazu wskazuje na to jej znaczenie.

Swoją drogą ponieważ nie dostarcza ona poszukiwanego i cenionego chleba, nie należy też do roślin zyskowych, zbliżając się pod tym względem do prosa. Jako roślina niewybredna a pożyteczna stanowi tak samo, jak i ono, konieczną składową część drobniejszych gospodarstw. Nie bywa atoli nigdy uprawiana w obszernych plantacjach, na wielką skalę i nie należy do przynoszących duże zyski, do takich, na których uprawie możnaby się było wzbogacić, zrobić majątek.

To też dawne przysłowie w taki sposób określa ubogie, mało zyskowne gospodarstwo: „Kto nie jada jeno raki, flaki, żabki a ślimaki; kto nie chowa, tylko kozy, kaczki, koty; nie sieje oprócz jarmużu, jarzę i tatarę, do tego ma żonę Barbarę, krowami

Dlatego to Telimena w „Panu Tadeuszu” z takim zgorzeniem wpada na sędziego, że chce synowca zakopać na wsi:

To myślisz Tadeusza zostać dobrodziejem,  
Jeśli młodego chłopca zrobisz grykosiejem?

Ale i rolnicy, mszcząc się za to wydrwianie swego stanu przez mieszkańców miasta, uważających się za mądrzejszych i uczeńszych, ułożyli o nich żartobliwe przysłowie, w którego skład również wchodzi.. gryka: „Umie języki, ale nie wie, co się robi z gryki”.



## SZKOŁA JAPOŃSKA.

Rycina nasza przedstawia wnętrze szkoły ludowej japońskiej, w której nauczyciel pokazuje dzieciom model statku, chcąc zapewne zawczasu wyrobić w nich zamiłowanie do żeglugi morskiej.



# NA ŁASCE OCEANU.

(Dalszy ciąg)

Żaden okręt nie wypływa wtedy z portu, a te, które mgła na morzu zastanie, starają się świstem parowej maszyny nieustannie dawać znaki o sobie, ażeby uniknąć spotkania z drugimi okrętami, bo gdy statek w pełnym biegu najedzie na drugi, nie ma tu już żadnego możliwego ratunku: jeden z nich, mianowicie słabszy zazwyczaj, pójść musi na dno, albo rozkrojony jak piłą, albo pogrążony w całości. Latarnie morskie płoną wtedy, choć w dzień, zdwojonem światłem elektrycznem, ale nadaremnie wysilają się, aby rzucić krąg młdej jasności w szarą przestrzeń tych wilgotnych kłębow, które sprawiają ciemność tem sroższą, że niby białą i widną, a jednak nie pozwalająca widzieć najbliższych przedmiotów, jakby się kładła wprost na powieki. Kłęby mgły zdają się ugniatać swoim ciężarem przywykłą do wolnego oddechu pierś marynarza i nawet złote promienie słońca nie są w stanie przeniknąć ich i rozświetlić.

Kiedy podróżni nasi przekonali się, jakiego to rodzaju niebezpieczeństwo zawisło nad nimi, ręce ich opadły bezsilne i na czoła uznojone wiosłowaniem, zsunęła się także chmura ciężka i ciemna — chmura zwątpienia. O ileż lżejszą byłaby im do zniesienia najstraszliwsza burza, której przecież mogliby się opierać, walczyć z nią zręcznością i siłą! Burza morską natęży nerwy i zdwaja siły żeglarzy, mgła paraliżuje je; to też i Henryk rozwijający dotąd tyle energii w tem niebezpiecznem przedsięwzięciu, teraz usiadł na dnie łodzi milczący i na pozór obojętny, zdający się biernie na wolę losu, z którym walczyć nie widział sposobu.

Towarzysze poszli za jego przykładem; pocóż mogli pracować u wiosła i własnym trudem popychać łódkę w stronę, gdzie jej może grozić rozbicie o skały lub zatonięcie w morskim wirze — jeśli im śmierć przeznaczona i tak nie zdołają uciec od niej, bo nie wiedzą, z której strony czyha na nich.

Głuche milczenie panowało między nimi, przerywane tylko od chwili do chwili cichym jękiem, lub niedosłyszalnym, niewyraźnym szeptem chorego Pawła, który leżąc w gorączce, sam jeden nie przezuwał nawet, co im grozi.

Nagle, w oddali dał się słyszeć głos przeciągły, przytłumiony, niby wycie jakiegoś olbrzymiego potwora, rozchodzące się głucho po falach oceanu. Młodzi żołnierze spojrzeli na siebie: twarze ich blade były jak płótno wydętego żagla. Porucznik Henryk zerwał się z miejsca i stanął w pośrodku łodzi, wyciągnięty jak struna, ze skrzyżowanymi rękami, jak gdyby gotów na przyjęcie w swoją pierś ciosu, który zawisł nad nimi wszystkimi.

— Syrena — szepnął.

— Syrena — powtórzyli za nim towarzysze.

Był to rzeczywiście głos syreny, t. j. olbrzymiej tuby okrętowej, jaką największe parostatki dają znak o sobie na pełnem morzu. Niewiadomo dlaczego nadają nazwę syreny — t. j. pięknej istoty, zdradliwie wabiącej do zguby — tej tubie, która służy właśnie do ostrzegania statków o grożącym im niebezpieczeństwie spotkania się z sobą.

Tym razem jednak podróżnym naszym ostrzeżenie to nie na wiele przydać się mogło, bo głos tuby rozchodził się tak we mgle, że niepodobna było rozpoznać, z której nadpływa strony.

Rósł on i potężniał z każdą chwilą, widocznie okręt ogłaszający w ten sposób swą obecność, zbliżał

się bardzo szybko do wątej łódki, którą najłżejsze jego potrącenie musiało niechybnie zatopić.

Nieszczęśliwym zbiegom zdawało się, że przerażliwy, ogłuszający głos tuby wypełnia sobą cały bezmiar powietrza i wody otaczający ich dokoła; zimny pot wystąpił im na skronie: wszak to śmierć szła tak na nich, osłonięta kłębami żółtej mgły, zło wrogiem wyciem zwiastując swoje zbliżenie!

Młodzi żołnierze kłękli w łodzi, szepcąc pacierz i polecając się Bogu w tej ostatniej swojej godzinie — porucznik Henryk tylko nie zmienił postawy — z czołem wzniesionem z jakimś niby rozpaczliwym wyzwaniem, ze skrzyżowanymi wciąż rękoma, starał się tylko mgłę przebić oczyma.

— Poruczniku! zginiemy.

On, nie nie odpowiada — w tej ostatecznej chwili, przed duszą jego z dziwną wyrazistością uprzymnia się cała przeszłość własna, całe życie tak bezpowrotnie zmarnowane i opanowuje go uczucie jakiegoś gniewnego buntu przeciw wyrokowi losu. Wydaje mu się to potwornem, aby mieli tak nędznie ginąć, oni czterej, młodzi, silni — przecież kochani i opłakiwani gdzieś w kraju — aby ta śmierć młodszych towarzyszy obciążyla sumienie jego za to, że pociągnął ich swoim przykładem, podczas gdy ten, co pierwszy właściwie spowodował całe nieszczęście, ów zwierzchnik nieudolny a surowy, bezpiecznie i spokojnie żyje sobie dalej tam w kraju i nawet nie odczuwa, jaka tragedia rozgrywa się tu!

Henryk uczuł w tej chwili, że nienawidzi tego człowieka.

— *I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...* — kończyli głośno modlitwę, sposobiący się na śmierć młodzi żołnierze.

Henryk drgnął — tych słów uczyła go kiedyś matka, gdy był małym, jasnowłosem chłopięciem, tam w starym domku rodzinnym... pamiętał, jak mu co wieczór składała rączki do pacierza i klęczącemu przed małym, biało zasłanem łóżeczkiem, nad którym wisiał obraz Matki Boskiej — dłoń kładła miękko na głowie, gdy on za jej głosem łagodnym, powtarzał z nabożnem skupieniem „Ojcze nasz” i „Wierzę”.

Henrykowi wydaje się, że w tej chwili czuje jeszcze dotknięcie matczynej dłoni i słyszy słodki dźwięk jej głosu. Coś jak łkanie podnosi się w jego piersi... Jak to dawno już usta jego nie złożyły się do słów pacierza! Czemu? Gwar życia obozowego, uciechy i troski młodości, a potem straszne udrczenie winy i kary, to wszystko nie było przecież żadnem usprawiedliwieniem takiego zaniedbania tego, co mu matka poleciła jako święty obowiązek. Jak on mógł zapomnieć o tem, co w tej chwili, kiedy ostatni raz ogląda się wstecz na swoje życie, wydaje mu się dziś niby skarbem nieocenionym, spuścizną, która mogła mimo czasu i oddalenia łączyć go tak żywo z domem i pamięcią matki. Kto wie, gdyby skarb ten pielęgnował był święcie, czy całe życie jego nie byłoby poszło inaczej? Może słodczy słów modlitwy byłaby uspokoiła zbyt porywczą bućkę w owej jednej nieszczęsnej chwili, co go wytrąciła z chlubnych żołnierskich szeregów...

Henryk po raz pierwszy pomyślał coś podobnego.

W tej chwili jakiś cień olbrzymi, potworny, zarysował się we mgle, tuż przed nimi. Było to niby widmo ogromnego okrętu, którego kominy i maszty zdawały się piętrzyć w obłokach, — przez gęste kłęby mgły trudno było rozpoznać wyraźny zarys kadłuba, — czuło się raczej, niż widziało, że tam w tych szarych kłębach, już tuż, już blisko, kryje się jakiś kształt olbrzymi, który prze się naprzód, gotów zmiażdżyć wszystko, co mu stanie na drodze. Parowa tuba huczała wciąż, jak trąba sądu ostate-



cznego, straszne widmo sunęło z szybkością błyskawicy na wątlą łódź zbiegów, — niepewne zarysy stawały się coraz wyraźniejsze, — już tylko cienka przesłona mgły zdawała się dzielić je od „łupiny orzecha” i nagle olbrzymi maszt, owinięty od dołu gęstszymi kłębami, zawisł niby w powietrzu ponad łodzią, jak olbrzymia, gotowa zdruzgotać ją maczuga...

— Koniec! — szepnęli młodzi żołnierze, zasłaniając oczy dłońmi.

Porucznik Henryk osunął się na kolana.

— *Odpuść nam, jako my odpuszczamy...* — wyrzekł zbladłymi wargi słowo dawno nie powtarzanej modlitwy.

W tej chwili nie nienawidził już nikogo.

Mała łódka zachwiała się, zadrżała każdą deską, okręciła się nawet w koło siebie i spłynęła, jakby szarpnięta w jedną stronę, jak odepchnięta prądem, który szeroką bruzdą znaczy na morzu ślad za przepływającymi statkami. Szlak ten niósł ją szybko w jedną stronę, a w drugą oddalało się we mgle zacierające się coraz więcej złowrogie widmo okrętu i przeraźliwy ryk syreny cichł, przycichał coraz w przestrzeni, w miarę jak łódź odsuwała się w kierunku przeciwnym rozchodzeniu się głosu.

Kłęczący w łodzi podnieśli głowy i spojrzeli po sobie prawie ze zdumieniem. Co się to stało? więc oni żyli jeszcze, byli ocaleni? Grożący zagubą statek otarł się prawie o ich łódkę i minął ją bez szkody, nie wiedząc nawet o przerażeniu i trwodze, jakiej był powodem.

— Wiwat! niech żyje Francya! — wybuchnęli radosnym okrzykiem młodzi żołnierze, gdy oczywistość przekonała ich, że w samej rzeczy minęło straszne niebezpieczeństwo.

— Skoro Bóg wszechmocny ocalił nas tym razem, to juści chyba nam przeznaczono jeszcze swą ziemię oglądać — mówili w uniesieniu.

Twarz porucznika zachowała jeszcze wyraz poważnego wzruszenia:

— Ocalił nas Bóg, dzieci, bo widać ma dla nas jeszcze jakąś robotę na ziemi! Nie zawsze szczęśliwym był dla was dotąd mój przykład, bracia, ale kiedy Bóg dzisiaj dożyć pozwolił, to może i na innej niż dotąd drodze da nam jeszcze stwierdzić przyjaźń i przywiązanie wzajemne.

Już też i mgła z wolna zaczęła rzednąć i rozdzielać się na szmaty, które odpływały gdzieś z wiatrem, zostawiając za sobą, na chwilę przynajmniej, w ogólnym tumanie luki, świecące smugą czystej, połyskliwej fali; te, wnet się znów zasnuwały, choć teraz coraz już przezroczystszym welonem.

To też oczy i usta młodych wioślarzy uśmiechały się do siebie, coraz pogodniej i weselej.

Jeden z nich tylko nie brał udziału w ogólnej radości, tak jak przedtem nie podzielał i trwogi. Pawełek leżał wciąż nieprzytomny na dnie łodzi, nie słyszał głosu syreny, nie widział widma śmierci, które przesunęło się tak blisko koło nich. Szeroko rozwartymi oczami zdawał się wciąż widzieć rodzinną chatę, wołał po imieniu rodzeństwo, rodziców, śmiał się, to znów żegnał się z nimi, wyobrażając sobie niby, że idzie do wojska.

Towarzysze czuwali nad nim kolejno, zmieniając się u wioseł. Jedynie w obliczu śmierci, na krótką chwilę zajęci sobą, zapomnieli o nim, ale i wtedy nie pozostał całkiem opuszczony: wierny Nero nie odstąpił od niego ani na krok, wyciągnięty obok na dnie łodzi, swoje rozumne, błyszczące oczy utkwili w twarzy chorego i od czasu do czasu lizał go współczująco językiem.

(d. c. n.)

## Rozrywki naukowe bez przyrządów.

Jak zrobić żarowo gazowe światło Auera przy pomocy garstki popiołu.

Podziwialiście nieraz zapewne jasne światło, które wydają cienkie koszulki, żarzące się do białości w niebieskawym płomyku gazu. Otóż możecie sobie urządzić coś podobnego, jeżeli macie na zbyciu 4 stare stalówki i kawałek dużego płaskiego korka, ze sporym otworem w pośrodku. Stalówki należy ułożyć na korku, tak, aby końce wystawały nad środkowym otworem.

Spalcie ostrożnie zapalkę i nasypcie trochę delikatnego popiołku na końcach stalówek. Jeżeli by to wam nastęczało dużo trudności, to przytwierdźcie na końcach piór stalowych po małym kawałku zapalki, które następnie spalone, ulegną spopieleniu. Korek wraz ze stalkami i leżącym na nich popiołkiem stawiamy ostrożnie ponad palnikiem zwyczajnej lampy naftowej z okrągłym knotem, który wykręcamy na tyle, ażeby dawał niski, mały, niebieskawo-płomyk. Taki płomyk musi być bardzo gorący skoro niebawem cząsteczki popiołu, znajdujące się ponad nim, rozżarzają się do białości i zaczynają jasno świecić. Blask rozżarzonego popiołku jest tak silny, że można go chyba porównać ze światłem małej lampki elektrycznej.

Nie pozwólcie jej się przypatrywać zbliska nikomu, a wtedy nie będzie wiedział, czego użyliście do wytworzenia takiego ładnego światła.



## ZE ŚWIATA.

**Następca tronu włoski.** Wielka radość zapanowała we Włoszech. Parze królewskiej. Wiktorowi Emanuelowi II i Helenie z ks. Czarnogórskich urodził się syn, następca tronu, który otrzyma imię dziada Humberta, a tytuł księcia Piemontu, od nazwy dawanej prowincji Sardynskiej, rozłożonej u stóp Alp, a kolebki dynastji sabaudzkiej. W tej dynastji kobiety są wyłączone od tronu, nie tak jak w Anglii i Holandji, — więc chociaż królestwo posiadają już dwie córki: księżniczki Jolanę i Mafaldę, ale żadna z nich nie będzie następczynią tronu. Teraz dopiero spełniły się życzenia rodziców i większości narodu włoskiego.

Mały książę ma być ochrzczony przez arcybiskupa Turynu.

**Nowy profesor historii literatury.** Po śmierci profesora Chmielowskiego opróżniona została, czyli jak mówią „zawakowała” katedra literatury polskiej na uniwersytecie lwowskim.

Na to stanowisko wydział jednogłośnie powołał prof. Józefa Kallenbacha, który ostatnie trzy lata przebywał w Warszawie. Profesor Kallenbach ur. w gub. podolskiej w 1861 r. był już profesorem literatur słowiańskich i rektorem w uniwersytecie Fryburskim w Szwajcaryi. Wydał dotąd trzy wielkie prace o Kochanowskim, Mickiewiczu i Krasińskim.



## Kwestyonaryusz dla chłopców.

(Odroczenie terminu).

Gdy w roku zeszłym ogłosiliśmy kwestyonaryusz dla panienek, wielu naszych czytelników dopominało się o podobny kwestyonaryusz dla siebie, czyniąc więc zadość tym życzeniom, w N-rze 25 „Wieczorów” z roku bieżącego daliśmy kwestyonaryusz dla chłopców.

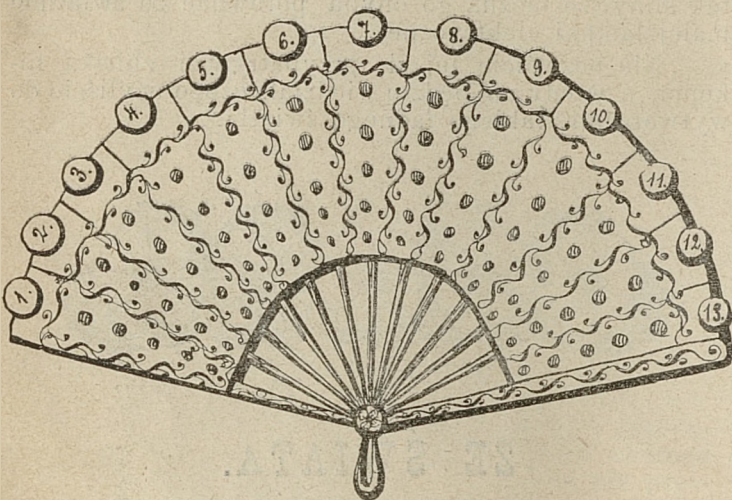
W dniu 1-go września minął termin nadsyłania odpowiedzi i przekonaaliśmy się, że w stosunku do liczby czytelników, otrzymaliśmy zbyt małą ilość, co dziwniejsze nawet nie otrzymaliśmy odpowiedzi od wielu z tych, co się ogłoszenia kwestyonaryusza domagali.

Przypuszczając, że zajęcie się konkursem na wypracowania odwróciło uwagę od kwestyonaryusza i pragnąc dać możliwość odpowiedzi tym, co wśród wakacyjnych rozrywek nie umieli znaleźć chwili na wniknięcie w siebie, **odraczamy termin nadsyłania odpowiedzi do dnia 15-go listopada,**

**Przypominamy, że pytania były umieszczone w N-rze 25 „Wieczorów.”**

### ŁAMIGŁÓWKA WACHLARZOWA.

ul. Jadwińska dla Muszki z nad Rosi.



Zamiast kólek na wachlarzu podstawić należy głoski w taki sposób, aby otrzymać 13 sześcioliterowych wyrazów, których pierwsze litery, stojące w kółkach, oznaczonych numerami utworzyłyby imię i nazwisko współczesnego historyka polskiego.

Znaczenie wyrazów: 1) Imię męskie. 2) Część świata, 3) Imię męskie. 4) Część świata. 5) Rzadki okaz. 6) Imię

żeńskie. 7) Burza śnieżna. 8) Mineral pospolity. 9) Narzędzie do rozbijania. 10) Wesołe uczucie. 11) Inaczej epidemia. 12) Malowidła. 13) Rzeka wpadająca do morza Bałtyckiego.

### ZAGADKA LITEROWA.

*Pierwsza, czwarta w każdym tomie,  
Druga, piąta siedzi w promie,  
Trzecia oraz jedenasta  
Bywa w każdym kącie miasta,  
Szósta, siódma na dnie czary,  
A dwunasta wewnątrz miary;  
Ósmą i dziesiątą przy niej  
Spostrzedz zawsze można w synie  
I, by skończyć te łamańce  
Dziewiątej szukajcie w bańce.  
Cały co rok dla młodzieży  
Tom powieści daje świeży.*

ROZWIĄZANIA DO N-r 38-go.

**Figla arytmetycznego:** Kupiec stracił tylko 25 rubli: 10 rubli w towarze i 15 rubli gotówką.

**Szarady III:** Emilia Lejowa.

### ŻARCIK NA ZAKOŃCZENIE.

— Czy wiesz, Józiu, spóźniłem się na pociąg o półtorej minuty!

— To jeszcze bardzo szczęśliwie, bo mogłeś się spóźnić o całą godzinę.

### Odpowiedzi Redakcyi.

**Szarotce z Tatr.** Pisma francuskie można prenumerować za pośrednictwem wszystkich większych księgarni polskich. Jak dla ciebie najlepiej będzie się zwrócić do której księgarni w Krakowie.

**Niecierpliwemu Jasiowi.** Konkurs na pomysłowość będzie ogłoszony w jednym z najbliższych numerów.

### Odpowiedzi działu zadankowego.

**Stasi Kuszelewskiej.** Zagadka twoja po wprowadzeniu pewnych zmian będzie dana do druku.

**Wodnej Lilijsce.** Rozwiązanie figla arytmetycznego zupełnie mylne. W czym tkwi błąd, możesz się przekonać, porównyując swoje rozwiązanie z zamieszczonym w „Wieczorach”.

**Trafne rozwiązania łamigłówek z ostatnich numerów** nadesłały: Irenka Trąmpczyńska, Halinka Trąmpczyńska, Stasia Kuszelewska i Hela Dłuska.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce — 15 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** Sprawozdanie z konkursu (z ryc.) — Echo z lasu, wiersz. — Psie pole, powieść Włodzimierza Trąmpczyńskiego. — Generalowie z wojny rosyjsko-japońskiej. — Nasze rośliny uprawne, przez B. Dyakowskiego (dok.) — Szkoła japońska (z ryc.) — Na łasce oceanu. — Rozrywki naukowe. — Ze świata. — Kwestyonaryusz dla chłopców. — Łamigłówki i rozwiązania. — Odpowiedzi redakcyi. — **Dodatek:** Dary, przełożyła z angielskiego M. G. — Przestroga, wiersz. — Moje opowiadania, przez Zofię Bukowiecką. — Tanecznicza (z ryc.) — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

**Bezpłatny dodatek książkowy:** Sewerka, powieść przez W. Marrené-Morzkowską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 21 Сентября 1904 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka 15.



## D A R Y.

przełożyła z angielskiego

M. G.

(Dalszy ciąg).

Nie pojmuję, dla czego ona miała takie mnóstwo kosztowności — powiedziała zamysłona Antea po wyjściu Marty. — Zdaje mi się, że to bardzo niemiła osoba. A nasza mama nie ma wcale brylantów ani żadnych kosztowności, oprócz naszyjnika z topazów i pierścionka z szafirem, który jej ojczyk dał przy zaręczynach, i gwiazdy z granatów i broszki z perełkami z włosami dziadzi we środku — nic więcej...

— Jak dorosnę, nakupię mamusi masę brylantów — powiedział Robert — ile tylko będzie chciała. Nazbieram tak dużo pieniędzy w Afryce, że nie będę wiedział, co z nimi robić.

— Czyby to nie było ślicznie — odezwała się zamysłona Kizia — żeby mamusia znalazła te wszystkie kosztowności, te naszyjniki i *rywery* i *dajdemy*...

— *Djademy* — poprawił Cyryl.

— *Djademy* — powtórzyła potulnie Kizia — i pierścionki i to wszystko w swoim pokoju, jak przyjeżdżie? Chciałabym, żeby znalazła...

Dzieci spojrzały na nią z przerażeniem.

— Znajdzie z pewnością! — zawołał Robert. — Wymówiłaś życzenie, Kiziu, i teraz jedyny ratunek iść do *samjada* i jeżeli jest w dobrym humorze, prosić go, żeby wziął napowrót twoje życzenie, a dał nam za to co innego. A jeżeli nie zechce — no! to nie wiem, co z tego będzie... Będzie pewnie policya i... Nie płacz, gąsko! będziemy cię ratowali. Ojczyk zawsze mówi, że nie trzeba się bać, jeżeli się nie poczuwa do winy, i jeżeli się mówi prawdę...

Ale Cyryl i Antea spojrzeli na siebie ponuro. Pamiętali dobrze, na co im się zdała prawda, gdy opowiadali o piaskoludku policyi w Rochester.

Dzień był pełen niepowodzeń. Nie zdołali odzyskać Piaskoludka, ani kosztowności, pomimo, że każde z dzieci przeszukało starannie pokój mamusi.

— Naturalnie! — odezwał się w końcu Robert. — *My* tego nie znajdziemy, tylko mama znajdzie. Może pomyśli, że one tu były w domu oddawna, i nie dowie się, że są kradzione?

— Zapewne! — odparł wzgardliwie Cyryl. —

Więc mama ma nosić kradzione rzeczy? Chyba wiesz co to znaczy?

Powtórne, wyczerpujące poszukiwania w kopalni piasku nie naprowadziły na trop *samjada*, więc dzieci smutne powróciły zwolna do domu.

— Niech będzie co chce! — zaczęła mężnie Antea. — Powiem mamie prawdę, a ona odda ukradzione brylanty i wszystko się naprawi.

— Tak myślisz? — zapytał Cyryl zwolna. Myślisz, że nam uwierzy? I czy ktokolwiek może uwierzyć w *samjada*, dopóki go nie zobaczy? Mama pomyśli, że kłamiemy. Albo pomyśli, żeśmy powaryowali i odeśle nas do zakładu dla obłąkanych!.. Czyby ci się tam podobało? — zwrócił się znienacka do nieszczęśliwej Kizi. — Czybyś chciała być zamknięta w klatce z żelaznymi prętami, wyłożonej matercami na ścianach i nie mieć żadnego zajęcia, tylko słuchać krzyków i rozmów chorych. Przygotujcie się na to wszyscy! Na nic się nie zdało mówić o tem mamie.

— Ale kiedy to jest prawda! — zawołała Kizia.

— Wiadomo, że prawda, ale dorośli ludzie temu nie uwierzą — tłumaczyła Antea. — Cyryl ma słuszność. Nakładźmy kwiatów do wazonów, i starajmy się nie myśleć o brylantach. Zresztą w każdej na



Każde z dzieci przeszukało starannie pokój mamusi.



szej przygodzie wszystko się naprawiło, jak tylko słońce zaszło.

Więc dzieci napełniły kwiatami wszystkie wazon-y w całym domu — astrami, ciniami i czerwonymi różami, które kwitły na podwórku przed domem — tak, że cały dom wyglądał jak jeden bukiet.

I zaledwie sprzątnięto po obiedzie, mama przyjechała i została porwana przez ośm kochających rąk. Trudno im było nie mówić o piaskoludku, bo dzieci miały zwyczaj opowiadać jej wszystko. Ale udało im się zachować milczenie.

Mama też ze swojej strony miała im dużo do opowiadania — o babuni, i o gołąbkach babuni, i o kulawym, obłąkawionym osielku ciotki Emmy. Bardzo była ucieszona mnóstwem kwiatów w pokojach, a teraz, po jej powrocie, wszystko wydawało się tak miłe i naturalne, że dzieciom chwilami zdawało się, że tylko śniły o piaskoludku.

(d. c. n.)

## Przestroga.

Staś, że młodszego brata poprawić potrafi,  
W stylu i ortografii,  
Już się za najmłodszego uważał człowieka,  
I wszystkich traktował z lekka.  
Tymczasem, gdy mu przyszło chrząszcza pisać w kajecie,  
W ogromny popadł ambaras,  
I w tym jednym wyrazie, czy uwierzyć chcecie,  
Zrobił dwa błędy naraz!  
Więc mama poprawiając zmyłki w jego pracy,  
Rzekła: — Brzydko kto nad innych wynosi sam siebie,  
Bo zawsze znajdują się tacy,  
Co więcej wiedzą od ciebie. —

W. B.

Zofia Bukowiecka.

## MOJE OPOWIADANIA.

(Dalszy ciąg).

**Z** kościołów i klasztorów, przy których zakładano szkoły, szła na kraj oświata, tam książęta uczyli się czytać, tam przepisywano księgi.

Krzywousty umiał kogo należało nagrodzić, ale wiedział też, kiedy ukarać trzeba, a karał i nagradzał zarówno wielkich, jak małych, dlatego szanowały go wszystkie stany.

Zdarzyło się raz, że wojewoda Żelisław utracił w bitwie rękę, odrąbano mu ją, a on nie zważając na ból, na krew broczącą z rany, chwycił miecz w lewą pięść i pokonał nieprzyjaciela.

Na całe życie piękna została pamiątka Żelisławowi, z dumą pokazywał dzieciom bliznę, a Krzywousty kazał wykuć rękę ze złota i darował ją mężnemu wojewodzie zamiast tej, którą utracił.

Raz znów, w czasie bitwy od strzał nieprzyjacielskich padł koń Bolesława. Dojrzał to wieśniak walczący obok monarchy i oddał królowi własnego wierzchowca, chociaż mógł ten czyn życiem przypłacić, a wdzięczny król poświęcenie wieśniaka zaszczytami nagroził i męstwo jego za przykład rycerzom stawiał.

Umiał być wdzięcznym Bolesław, ale umiał też ukarać winnego. Krzywiły mu się wtedy usta od gorczy, bo gardził złemi postępkami, a karę potrafił wymyśleć taką, że ją po dziś dzień ludzie wspominają. Był wojewoda, Wszebor się nazywał, kazał mu król prowadzić wojsko do bitwy, a on dał zły przykład rycerzom i uciekł przed nieprzyjacielem. Wiecie, co zrobił Bolesław? Oto posłał Wszeborowi kądziel na znak wzgardy, jako, że właściwiej tchórzowi sięść pod piecem z kądzielą, niż wojsku w bitwie przewodzić. A wojewoda zhańbienia nie przeżył, ukręcił sznur z kądzieli i sam się na nim obwiesił. Srogo też ukarał Krzywousty wojewodę Skarbimierza, a nawet własnego brata Zbigniewa za to, że z nieprzyjacielem na własny kraj się zjawiali.

Czterdzieści lat panował Bolesław. Dokonał wiele, bo Pomorze do wiary świętej nawrócił.

A jakże pracowano za Krzywoustego, czy tak samo jak za Mieczysława?

Mądre pytanie, ale trudno na nie odpowiedzieć, różna była praca, bo naród, co wam już mówiłam, dzielił się na różne stany, żeby je zliczyć, trzeba wszystkich pięciu palców...

— Aż pięciu?

Posłuchajcie. Był najprzód stan duchowny, złożony z zakonników, proboszczów i biskupów. W klasztorach i przy kościołach zapisywano wszystko, co działo się ważniejszego w kraju. Z tych zapisek, nazywanych rocznikami, dowiadujemy się dziś o wypadkach dwunastego wieku. Najuczeńszym kapłanem był za Bolesława jego kapelan Marcin Gallus, Francuz rodem, napisał on bardzo ciekawą kronikę, to jest opowiadanie o panowaniu Krzywoustego. Były też już w owych czasach przy kościołach biblioteki, te najdroższe bogactwa wspólne, mówiono tak: „klasztor bez ksiąg, to jak warownia bez wojska”. Marcin, biskup plocki, darował swoją bibliotekę kościołowi plockiemu w roku 1024, a święty Stanisław, biskup krakowski, przywiózł z Paryża do Krakowa dużo ciekawych ksiąg, miała je w jedenastym wieku i katedra Poznańska. Stan duchowny za swoje prace dostawał od króla ziemię, którą uprawiali ludzie niewolni i dziesięciny, jakoto opłaty z targów, dochód z kopalni żelaza, z karczem. Z pieniędzy tych utrzymywali się biskupi, proboszczowie i zakonnicy, budowano kościoły, wspierano ubogich, a potem zakładano dla nich szpitale po parafiach.

To był pierwszy stan.

(d. c. n.)



# TANECZNICA.

**N**a wysokiej sośnie mignęła czewono-ruda sukienka wiewiórki. Jak błyskawica zsunęła się po pniu na ziemię za upuszczonym orzeszkiem, podniosła go i znowu jednym susem znalazła się na gałęzi. Z sęku na sęk, jak po drabinie ze szczebla na szczebel przeskakiwała lekko, aż usiadła na samym prawie szczycie, puszysty ogonek podniosła jak kitkę ponad głowę i zaczęła chrupać swój przysmacek. Nie dużo jej to czasu zajęło: w jednej chwili puste łupinki spadały, a wiewiórka już była na innem drzewie, — bez najmniejszej trudności przenosiła się po płaczących się z sobą konarach z sosny na rosnącą obok brzozę, a z tej znów na buk i grabinę.

Patrzący na to czaruy, złotodzioby kos aż przechylił mądrą główkę i przeciągle gwizdnął z podziwu:

— Cóż to za cudaczne stworzenie! skrzydeł nie ma, a tak się szybko uwija! dziwo! dziwo!



A sunący w opadłych liściach jeź podniósł ryjek do góry i mruknął niechętnie: „Wszystkie leśne jabłka pozjada! nic dla mnie nie zostanie!”

Wiewiórka słyszała te uwagi, ale zarówno podziw jak i zły humor nie robiły na niej wrażenia, przedrzeźniając kosa, szydziła:

— Spróbuj-no mnie dogonić, ty skrzydlaty! — na jeża z pustotą rzuciła utrzymaną w łapkach szybkę wołając: „Dam ci jabłuszek, dam! tylko chodź ze mną potańczyć! — i już jej nie było w pobliżu.

Kos, ze słusznym poczuciem swojej wyższości zaczął wygwizdywać wesoło: — Młode to, płocha! fiut! fiut! trala-la! — jeź zaś chrząknął — Tfu! tanecznicza! — i szuportał dalej w murawie.

Wiewiórka rzeczywiście była tanecznicą nielada, i kos się nie mylił mówiąc, że młoda i płocha, bo dotąd całe jej życie trwało ledwie kilka przetańczonych miesięcy. Urodziła się na wiosnę, pierwszy raz widziała liście, opadające z drzew, i dziwiła się, że w lesie coraz widniej i przestronniej — przychodziło jej na myśl, że gdyby tak przypadkiem liści zupełnie zabrakło, trudniej byłoby przyczaić się w gałązkach, aby ująć drapieżnej kuny, która na drzewa za wiewiórkami się skrada — strasznej sowy, co nadlatuje cicho i w nocy świeci okrutnymi, okrągłymi oczami — nawet rudy lisek, z którego dotąd drwiła zawsze, gdy mogła mu prawie z przed nosa szustnąć między nisko zwisłe zielone gałęzie, mógł się stać niebezpieczny, bo przecież i wiewiórki schodzą czasem na ziemię — gdyby kiedy miało zabraknąć tej dobroczynnej, zielonej osłony przed jego ostrymi zębami i skośnymi, chciwymi oczami...

Ale ktoby tam nierozsądnymi obawami zatruwał sobie dni pogody i wesela, gdy w lesie tyle orzechów i buczyny! Liście lecą, bo pewno zaraz na ich miejsce gęstsze drzewom wyrosną; przecież ona sama martwiła się, że jej letnia sukienka lenieje, a teraz ma oto jeszcze cieplejszą i puszystszą — tak samo pewno będzie i z futerkami drzew! A co do wrogów wiewiórczego rodu oj! i liście przeciw nim nie pomogą, gdy już tak jakoś smutno i nieszczęśliwie się złoży! Przecież w lecie na to patrzała, jak ten okrutny lis zadusił jej siostrzyczkę, która nierozważnie zdrzemnęła się na niskim pniaku. — Kuna! toż dzięki jej ona sama błąka się teraz bez domu i rodziny, bo tak ją wystraszyła, niegodziwa, zakradłszy się do gniazda, gdzie z matką jeszcze mieszkały, że wymknąwszy się ledwie z jej pazurów, uciekała bez pamięci, aż zupełnie drogę zmyliła i nie mogła już trafić do swego mieszkania i nie wiedziała nawet, czy matka i reszta rodzeństwa żyje.

Ale ktoby się tam martwił, może wszyscy zdrowi i cali, może nawet zamiast ich kuna, oni kung zjedli... Nie! to być nie może — sama wiewiórka czuje, że sobie to wmawia nadaremnie, bo wie dobrze, że jej matka i siostrzyczki jedzą tylko różne suche owoce lasu i żadnych zwierząt nigdy nie zagryzały, bo nawet zębów ani pazurów do tego nie mają! — Ale może się im nic nie stało — pociesza się wiewiórka i tańczy dalej wśród gałęzi i drażni poważniejszych mieszkańców lasu, choć niejeden ofuknie ją, lub nawołuje do statku i rozwagi przypomnieniem, że zima się zbliża, że trzeba pomyśleć o zaopatrzaniu mieszkania i zapasach.

Ale wiewiórka lekceważy sobie przestrogi. — Zima? cóż to takiego? jeszcze tego nie widziała! zapasy? mało to orzechów w leszczynie — a bukwy, a żółtędzi? Ot, stare zrzędy! nie umieją skakać i tańczyć, muszą się dźwigać ospale, więc młodszym zazdroszczą swobody i radziby wszystkich zaprządz do dźwigania ciężarów! — Wprawdzie jeszcze matka pouczała rudą tanecznicę, wyprowadzając ją z gniazda na pierwsze przechadzki po lesie i ucząc zbierać orzeszki, że każda porządna wiewiórka na jeden orzech, który



schrupie, dwa przynajmniej zanosi do swojej spiżarni w dziuple jakiego drzewa, aby złożyć zapas zimowy, — ale wiewióreczka i wtedy nie bardzo mamy słuchała; co znajdzie orzeszek, to prosto niesie go do ząbków, a gdy już syta, to swawoli z rodzeństwem, a o pracy ani pomyśli!

Teraz zaś nie słysząc oddawna napomnień matki, tem mniej pamiętała o nich, choć coraz mniejsza obfitość orzechów, coraz większa trudność w zdobywaniu pożywienia powinny były ją ostrzedz. Aż wreszcie pewnego ranka, śpiąca w płytkim zagłębieniu drzewa, obudziła się prawie zdrewniała z zimna: obmarzło na niej futerko i czuła, że zginie, jeżeli się niezwłocznie ruchem i tańcem nie rozgrzeje. Próbowwała więc wyprawiać zwykłe skoki i harce. Ale jakże trudno dziś było utrzymać się na gałązkach! bezlistne i dziwnie ślizgie, osypane były czemś białym i dziwnie iskrzącym, a tak zimnem, że zdawało się prawie parzyć łapki nieprzyzwyczajonej do tego wiewióreczki. Próbowwała zeskokczyć na ziemię — ale na ziemi było jeszcze gorzej, bo tu było jeszcze więcej tego zimnego, białego piasku, że aż zapadała w ten puch ziębiący. Przytem głód dokuczał jej bardzo, bo już wczoraj, przez dzień cały, udało jej się znaleźć zaledwie jeden orzeszek i parę na pół przysgniętych żołądki, dziś jednak, z lękiem rozgląda się wkoło, że i tego nawet nie znajdzie, bo cały las zasypany białym puchem zmienił się tak dziwnie, że wiewiórka nie wiedziała nawet, czy trafi do znajomej leszczyny.

Biedna tanecznica! zrozumiała teraz, co to jest okrutna zima, co śnieg, głód i mróz — i dlaczego matka uczyła ją gospodarności.

Gorzko przyszło jej teraz odpokutować swoją lekkomyślność. Byłaby nieochybnie zginęła, gdyby po paru dniach błakania się w strasznej męce i głodzie, nie była spotkała i poznała starszą od niej litościwą wiewiórkę. Ta przyjęła niedoświadczoną tanecznice gościnnie do swego mieszkanka i choć skromnie i oszczędnie, przeżywała przez zimę ze swych pracowicie uzbieranych zapasów.

Na drugi rok już nasza znajoma mądrzejsza była i pracowitsza, nie dała się zawstydić starszym od siebie i urządziła sobie mieszkanie i spiżarkę, gdzie już bez troski przynajmniej zimę przebyć mogła.

*Zofia Mrozowicka.*

### Zagadki wprost i wspak.

#### I.

Długi wprost — to skąpstwa znak,  
A zbyt stary znaczy wspak.

#### II.

Wprost słyszycie w czasie burzy,  
A do miary pół wspak służy.

### SZARADA.

*Pierwszą w końcu miewa cudza,  
Trzecia na początku końca,  
Drugi wstręt w patrzącym wzbudza,  
Cała — to rzecz ciekawiąca;  
Komu swą ciekawość własną  
Zadowolnić się zachciało,  
To rzeczą jest bardzo jasną,  
Że rozwiązać musi całą.*

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 38-go.

**Zadania konikowego:** Do ludzi po rozum, do matki po serce.

**Figielka arytmetycznego:** Oczywiście dziesięć gruszek będzie kosztowało dziesięć groszy.

### Skrzynka do listów.

Dobrze, **Królewianka**, że zwalczyłaś lenistwo i pomimo, że ci się nie bardzo chciało napisać do Jaskółki, ale to jeszcze za mało, lenistwo widocznie nie daleko odbiegło, bo wróciło i nie pozwoliło całego listu starannie napisać. Pamiętaj również, że „rzeczy” pisze się przez „rz”, a „próżniactwo” przez ó (kreskowane). Dobrą była myśl twoja kupowania książek za oszczędzone pieniądze. Poczeiwe serduszeko, twoje odczuło boleść Małopolanki po stracie siostrzyczki. Powiedz jej, że Jaskółka bardzo serdecznie jej współczuje i chciałaby przytulić do serca jej biedną główkę. Dlaczego chcesz zmienić pseudonim? pozostań nadal *Królewianką*, bo pod coraz nowemi nazwami Jaskółka nie mogłaby rozpoznać swych korespondentów.

Daj ci Boże, **Prządko**, żebyś jaknajwięcej złotych nici w życie innych zawsze wpłatać mogła, ale pamiętaj o tem, że ono szarych i smutnych dużo nam także przynosi; więc kiedy ci się twoja złota nitka z taką szarą splączę, nie smuć się w tem ironii losu, nie narzekaj na nią, ale daj uśmiech szczęściu, a łzę bólesci i spokój w serduszkach zachowaj. Jaskółka rozumie twój żal, odczuwa go głęboko, smutno jej bardzo, że ci w nim ulżyć nie może. Żyj, jak dotąd, czuj em i uczuciem dla drugich, a w tem najpewniej ukojenie znajdziesz.

Pytasz, **Mimozo**, jakie lubię karty? Lubię te, które same przez się wyrażają myśl jakąś, albo w danej chwili są wyrazem myśli lub uczucia tego, który je posyła. Wolę jednakże, kiedy pisklęta moje dłuższe listy piszą, bo przez nie łatwiej mi zajrzeć w głąb ich serduszek. Więc na drugi raz czekam od ciebie listu, nie pocztówki.

**Chemikowi.** Tak, mój kochany, nie dziwię się, że cię tak pociąga to tajemnicze radium. Czytałam niedawno, że promienie jego przechodzą przez bryłę granitową, mającą dwie stopy szerokości.

Długo i ładnie napisała za to **Laszka**, to też z jej listu wiele rzeczy dowiedzieć się mogłam. Laszka pisze o sobie, że w długie, zimowe wieczory uczy zawsze czytać i pisać jakąś wiejską dziewczynkę i że choć to czasem bardzo trudno, bo taka biedna główka bywa niezdolna i niepojętna, ale wtedy mówi sobie „co zaczęłam, to skończyć muszę” i uczy dalej. Tak, Laszko, uradowałaś temi słowami moje jaskółcze serduszeko, bo wytrwałość w pracy, to bardzo ważny przymiot i konieczny w życiu. Twoja poczeiwa duszyczka interesuje się biednemi dziećmi; szkoda, że nie mogłaś być w przeszłym tygodniu w Warszawie, bo to były ich dożynki w pięknym parku „Frascati”. Chęćini znam tylko tyle co ty, widziałam je z daleka

*Jaskółka.*